

Teatr

„Amerykańska papieżycza”

Ks. ANDRZEJ LUTER

Na początek dwa wyjaśnienia. Najpierw wyznanie – żeby nie było żadnych nieporozumień: w Kościele, który wieszczy Esther Vilar w sztuce „Amerykańska papieżycza” nie mógłbym być księdzem z przyczyn zasadniczych, rzekłbym ortodoksyjnych. I druga uwaga: Esther Vilar nawiązuje do znanej legendy z IX wieku. Dotyczyła ona pewnej dziewczyny z Moguncji, która w Atenach (przybyła tam wraz ze swym ukochanym) występując w stroju męskim zdobywała wiedzę. W Rzymie jako Jan Angelicus została wybrana na papieża. Miała panować przez dwa lata, pięć miesięcy i cztery dni jako Jan VIII, póki nie zmarła w czasie procesji. Ahistoryczność tej legendy jest dziś dla wszystkich oczywista. Rządy owej papieżyczy nie mieszczą się w przedziale między śmiercią Leona IV i wyborem Benedykta III. Joannę II autorka sztuki osadziła na tronie papieskim w... 2014 roku.

Monodram z warszawskiego Teatru „Studio” (bardzo dobra rola Joanny Trzebiecińskiej – Anderman) ukazuje nam katastroficzną wizję przyszłości Kościoła. „Ukoronowaniem” klęski katolicyzmu będzie profanacja sakramentu Eucharystii. Papieżycza Joanna II mówi przecież coś o jakichś sztuczach z opłatkiem i winem. Powiedzmy szczerze, Kościół bez Eucharystii przestałby istnieć w ogóle. To jest absolutny fundament, na którym można budować wszystko inne; wszak jest to sakrament, który ustanowił Jezus Chrystus w czasie Ostatniej Wieczerzy, wraz z sakramentem kapłaństwa.

Dramat Kościoła i katolicyzmu dopełni upadek zasady hierarchiczności. Papieże będą wybierani demokratycznie przez ogół wiernych. Nic więc dziwnego, że głową Kościoła zostaną osobnicy zdemoralizowani, obskuranci i co najważniejsze: bez wiary; osobnicy, którzy zagubili całkowicie wymiar eklezjalny katolicyzmu, podporządkowując Kościół zasadom rynkowym dominującym na tym „konsumpcyj-

nym świecie” bez wartości. (Papieżycza Joanna II przerywa swoją mowę intronizacyjną, żeby telewizja miała czas na reklamę sponsorów.) Demokracja w Kościele doprowadzi, wcześniej czy później, do wyboru kobiety na tron papieski (czy raczej na krzesło papieskie).

W związku z upadkiem wszelkich reguł postępowania i norm moralnych, Kościół ulegnie i zgodzi się na aborcję, rozwody i małżeństwa homoseksualistów; innymi słowy zawiesi na kołku sakrament małżeństwa i V przykazanie Dekalogu. Z przyczyn populistycznych wyprzeda cały swój majątek, czy też raczej pozbędzie się wielowiekowego dziedzictwa (na przykład zabytkowych świątyń i katedr) przez co straci swoją tożsamość, a wcale nie zyska wiernych, którzy po prostu wydadzą pieniądze rozdawane hojną ręką kolejnych papieży. Esther Vilar eskaluje dramatyczne przykłady upadku Kościoła, które można streścić jednym zdaniem: uleganie duchowi tego świata.

Autorka przyznaje, że jest agnostyczką, osobą niewierzącą, ale jednocześnie mówi wprost, iż jest żywnie zainteresowana przetrwaniem Kościoła, ponieważ „mógłby się on pewnego dnia okazać dla nas ostatnim ratunkiem w ucieczce przed nadmierną wolnością”. Wyznanie zaiste wzruszające, powstaje jednak pytanie: czy taka wizja przyszłości Kościoła jest realna? Dla mnie jako chrześcijanina (nie istotne, że księdza) nie jest realna, bo wierzę w stałą obecność Jezusa Chrystusa wśród nas. Owszem, być może pod wpływem tzw. ducha czasów wielu odejdzie od Chrystusa, a tym samym od Kościoła i chrześcijaństwa, ale wtedy jeszcze bardziej liczyć się będzie siła świadectwa. Świadectwo jest zawsze najważniejsze; ważniejsze niż ilość, a w sytuacjach ekstremalnych jego znaczenie rośnie. Dowodzi tego historia chrześcijaństwa, a zwłaszcza historia XX wieku. Doświadczenie sakramentu pojednania podpowiada mi jednak, że nawet ta „mniej-

szościowa” wizja może okazać się zbyt pesymistyczna. Wielu ludzi bez reszty zanurzonych w różnych przejawach nowej rzeczywistości przychodzi nie bez wewnętrznego trudu, często po kilku latach, do konfesjonału, a potem na Mszę św. Chcą się zatrzymać przy Chrystusie; jakby powracali do Źródła. Takie jest moje doświadczenie kapłańskie.

Rozumiem autorkę, że w swym publicystycznym zapale (bo sztuka jest niestety zbyt publicystyczna, a tezy w niej stawiane są niekiedy rażąco schematyczne i przez to powierzchowne) przesadziła, chcąc zapewne uwypuklić problem, czyli pokazać naszego największego wroga, którym jest – według autorki – nasza własna wolność. Trudno mi jednak pogodzić się z takim jej rozumieniem. Sądzę, że Esther Vilar (i nie tylko ona) jest ofiarą lęku przed wolnością. Tak ten stan ducha nazywa ks. Józef Tischner, który pyta, czy nie doszło do załamania dialogu między naszą wiarą a myślą współczesną. Oskarżenia pod adresem „dzisiaj” często nie są z wiary. Ich źródłem jest szczególny styl myślenia, którego ideą zasadniczą – według ks. Tischnera – jest... wyrzucanie za drzwi. „Wyrzuca się za drzwi pytanie, potem wyrzuca się pytającego, w końcu wyrzuca się za drzwi całą współczesność z jej przekłętą wolnością. Czy trzeba mnożyć przykłady? Rozpisanie to wolność... Korupcja to wolność... Spory wśród polityków to wolność... Straszna jest ta wolność. Pamiętamy, jak pisał Erich Fromm: ludzie uciekają od wolności i sami, bez przymusu, wybierają sobie Hitlera. Kiedy przed laty czytaliśmy tę książkę, mówiliśmy sobie: nie my; my, Polacy, umiemy sobie radzić z wolnością. No tak, ale czy wiedzieliśmy wtedy, czym jest wolność? Jeszcze dosadniej niż Fromm pisał o tym Dostojewski w legendzie o Wielkim Inkwizytorze: »Ale skończy się na tym, że przyniosą nam swoją wolność do naszych nóg i powiedzą: »weźcie nas raczej w niewolę i dajcie nam jeść...« I dalej: »Powiadam Ci, zaiste najbardziej męczącą troską człowieka jest to: znaleźć kogoś, komu można by oddać dar wolności, z którym ta nieszczęsna istota się rodzi«. (...) Człowiek, który przychodzi na ten świat, nie wie, co to jest wolność. Ale może się dowiedzieć, gdy odkryje obok siebie wolność wcieloną w bliźniego. Dla chrześcijan obrazem wolności jest Chrystus. Przykład Chrystusa wyzwala, bo Chrystus sam jest żywą wolnością».

Esther Vilar widzi ocalenie dla Kościoła (jeśli spełniłaby się jej wizja, w co, powtarzam, nie wierzę) w powrocie do ortodoksji, swoiście rozumianej. Ale czy rzeczywiście jest to ratunek? Myślę, że autorka sama z dystansem patrzy na przed-soborowe ciagoty papieżyczy, która w końcu sztuki uwierzy, a przecież mogłaby – jak sama ostrzegła – poprzez miłosierdzie udawać wierzącą. Ortodoksja, owszem, jest bardzo ważna, ale rozumiana nie jako powrót do czasów sprzed pontyfikatu Jana

XXIII, a więc sprzed Vaticanum II, tylko jako trwanie przy Chrystusie i jego nauce, a więc jako trwanie przy Wolności. Arcybiskup Alfons Nossol twierdzi, że „na poziomie czystej religiologii nigdy nie dojdzie do głosu godność człowieka, prawda o tym, iż jest on creatura Dei, że iskiereka Boża pali się w jego jestestwie, a jej najkonkretniejszym odwzorowaniem jest wolność”. Wolność to nie wróg, jak zdaje się nam sugerować Esther Vilar i za nią bohaterka sztuki Joanna II, wolność to zadany dar. A chrześcijanin nie może być pesymistą i ulegać katastroficznym wizjom, bo krzyż w swoim najgłębszym wymiarze jest optymistyczny. To jest paradoks chrześcijaństwa.

Wiem, że po obejrzeniu „Amerykańskiej papieżyczy” wiele osób dyskutuje przede wszystkim o roli kobiet w Kościele, co jest zaskakujące, bo nie sądzę by był to wiódący wątek tej sztuki. Mam zresztą wrażenie, że feministki, widząc tylko instytucjonalny wymiar Kościoła przy nie dostrzeganiu boskiego, zapominają, że człowiek jest pierwszą i zasadniczą drogą Kościoła. Abp Nossol mówi: „Tą drogą jest nie obraz człowieka, nie jego idea, lecz człowiek historyczny, konkretny – każdy z nas. Jedyną istotną i naczelną troską może i musi być człowiek, ale zbawieniem naszym, zbawieniem wszystkich ludzi jest tylko i wyłącznie Bóg”. Dopiero w tym kontekście możemy dyskutować o kapłaństwie kobiet czy celibacie (osobiście nie mam wątpliwości co do słuszności rozwiązań tych problemów w moim Kościele). Tylko, że wtedy trzeba przedstawić inne argumenty, bez silenia się na oryginalność, bez socjologizowania, bez psychologizowania, czy tzw. racjonalizowania. Istnieje po prostu rzeczywistość Zbawienia, do którego zdążamy i którym chce nas obdarować Bóg, jak pisze o. Jacek Salij: „Celem naszego bycia w Kościele jest nasze uświęcenie”. Jeśli w ferworze dyskusji o tym zapomnimy to argumentem za zmianami w Kościele może być na przykład... wybór Angeli Merkel na szefową CDU. (Mówiła o tym niedawno w ciekawym wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” Hanneliese Steichele, przewodnicząca Katolickiego Związku Kobiet w Niemczech.) Może warto w tym miejscu przypomnieć słowa Gamaliela wypowiedziane przed Sanhedrynem: „Jeżeli bowiem od ludzi pochodzi ta myśl czy sprawa, rozpadnie się, a jeżeli rzeczywiście od Boga pochodzi, nie potraficie ich zniszczyć (...)”.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Monodram Esther Vilar nie zgorszył mnie. Uważam, że niesie ze sobą ważne treści. Pobudza do dyskusji, choć jest, jak już zaznaczyłem, zbyt publicystyczny. Pomimo to polecam, szczególnie młodzieży, również tej duchownej i kleryckiej.

Teatr Studio w Warszawie, Esther Vilar, „Amerykańska papieżycza”, reż. Janusz Anderman, premiera w maju 2000 roku.